

Wojciech Tadkowski



# Erotoman

*na zakrętach historii*



**Wojciech Tadkowski**

Erotoman na zakrętach historii

**Wersja demonstracyjna**



**Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2019**

**Wojciech Tadkowski**  
„Erotoman na zakrętach historii”

Copyright © by **Wojciech Tadkowski**, 2019  
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2019

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej  
publikacji nie  
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w  
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.**

**Autor zrezygnował z korekty wydawnictwa**

Redaktor prowadząca: **Renata Grzeškowiak**

Projekt okładki: **Robert Rumak**

Zdjęcie okładki: **adobestock @k\_e\_n**

Skład pdf, epub i mobi: **Adam Brychcy**

ISBN: 978-83-8119-583-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# Spis treści

[Od autora](#)

[Pierwszy zakręt – Wojna i okupacja](#)

[Drugi zakręt – Powstanie Warszawskie](#)

## Od autora

Ta powieść różni się znacznie od poprzednich pozycji autora z serii erotycznej. Z uwagi na charakter serii, także i w tym opowiadaniu nie brakuje scen i sytuacji erotyczno-pornograficznych, ale są one bardziej „obudowane” tłem społeczno-politycznym i biografią bohatera. Tło polityczne przedstawiono w sposób, w jakim było ono rzeczywiście postrzegane przez szeregowych, ale zaliczanych do inteligencji, obywateli. Bez zmian i uzupełnień historii, wprowadzanych często przez polityków i partie polityczne, zawsze usiłujące wykazywać się większą od konkurencji zdolnością przewidywania i większym patriotyzmem.

W okresie, w którym żyje bohater opowiadania, Polska i Europa przeżywały burzliwe czasy II Wojny Światowej, okupacji hitlerowskiej, destabilizacji powojennej i zmian ustrojowych. Autorowi kilkakrotnie zadawano pytanie – czy czas takich „zakrętów historii” wpływa na życie seksualne jego uczestników? Czy powoduje rozluźnienie obyczajów, czy też, wręcz przeciwnie, sprzyja rozszerzaniu purytańskiej skromności i wstrzemięźliwości?

Sądzę, że czytelnik znajdzie w tej książce przynajmniej częściowe odpowiedzi na te pytania. Autor starał się w niej możliwie dokładnie opisać to, co przy wielu wypitych wspólnie kawach opowiadał mu faktycznie istniejący bohater. W tej powieści nie koloryzowano zdarzeń. Mimo to przygody seksualne i zawodowe bohatera mogą niektórym czytelnikom wydawać się przesadzone, innym przeciętne, a jeszcze innym zbyt skromne. Takie jest życie. W tym przypadku prawdziwe. Dlatego też Czytelnicy poszukujący głównie wątków erotycznych, mogą czuć się zawiedzeni, że nie ma ich zbyt wiele na pierwszych kilkudziesięciu stronach. Wojenne „zakręty historii” i chłopięcy

wiek bohatera, nie przynosiły mu jeszcze wielu takich doświadczeń. Ale – Czytelniku – doczekasz się tego w dalszych częściach opowiadania!

Te ostatnie uwagi mają też zastosowanie w przypadku, gdyby ktoś z Czytelników uznał za niewłaściwe łączenie poważnych, czasem niemal tragicznych, przeżyć bohatera, na niezależnych od niego „zakrętach historii”, z rozbudowaną tematyką erotyczno-pornograficzną. Na usprawiedliwienie mogę tylko powtórzyć – takie jest życie. Seks zawsze łączył się innymi płaszczyznami życia i miał swoje miejsce w historii. Wystarczy przypomnieć sześć żon i perypetie seksualne Henryka VIII, które doprowadziły do powstania kościoła anglikańskiego. Można sięgnąć do przyczyn wojny trojańskiej, albo – niemal współcześnie – do rezygnacji z brytyjskiego tronu starszego brata króla Jerzego VI,

zauroczonego (podobno) nie tylko inteligencją, ale także umiejętnościami seksualnymi pani Wallis Simpson.

Czytelnik, który zechciał poprzednio przeczytać opowiadanie autora pt. „Trudne życie seksoholika”, może zauważyć pewne podobieństwa niektórych zdarzeń i ich chronologii. Nic dziwnego – w końcu kanwą obu opowiadań jest ta sama biografia. W tym poprzednim e- booku mniej jest jednak autentyzmu, a więcej fantazji zarówno bohatera jak i autora. W oddawanym obecnie do rąk (a ściślej – do komputerów) Czytelników – więcej szczegółów dotyczących zarówno faktów, sukcesów i kłopotów jak i odczuć bohatera, także w sferze seksualnej.

Życzę przyjemnego czytania!

## **Pierwszy zakręt – Wojna i okupacja**

Był lipiec 1938 roku. Kazio leżał na plaży w Jastarni. Morze było spokojne, niewielkie chmurki nie przysłaniały słońca. Był

rozleniwiony, jak zwykle w połowie wakacji. Przyjechali z ojcem odwiedzić matkę, która każdego roku spędzała tu miesiąc, zawsze w tym samym pensjonacie. Zrobili sobie frajdę i kupili dość drogie bilety, na niedawno uruchomiony pociąg, zwany lukstorpędą.

Teraz ojciec był już dość długo z matką w pokoju pensjonatu. Kazio domyślał się dlaczego. Tata miał wprowadzić kilka zaprzyjaźnionych pań w Warszawie, niektóre znał, były miłe i ładne. Była też w domu służąca, którą, pod nieobecność mamy, ojciec często wołał wieczorem do sypialni. Miła dziewczyna, która także jego wprowadzała w pierwsze, dotykowe, seksualne ćwiczenia. Ale mama była wyjątkowo piękną kobietą i sądził, że ojciec, chociaż raz w czasie jej urlopu, chciał ją nie tylko zobaczyć. Normalka. Ojciec miał koło czterdziestki, a to – jak mówili koledzy – wiek, w którym mężczyzna „potrzebuje kobiety” nawet codziennie. Przypuszczał, że i jego to czeka, bo już od dwóch lat budził się rano z bolesnym wzwodem i miał jakieś zwariowane sny.

Mimo pięknej pogody, morze było zimne. Wykąpał się jednak i nawet pograł w wodzie w piłkę z przypadkowo poznanymi dziewczynami. Był w dobrym nastroju – przed nim jeszcze miesiąc wakacji. Pojutrze pojedzie na harcerski obóz niedaleko Warszawy, w urokliwym miejscu nad Świdrem. Był tam ze szkolną drużyną już dwa razy. Fajnie było tym bardziej, że zawsze w pobliżu rozbiwały obóz także harcerki z innego gimnazjum.

O szkole myślał z niechęcią. Zmienił szkołę dwa lata temu i jakoś nie mógł się zaprzyjaźnić z „czołówką” klasy. Ciągłe był „nowy”. Ale do matury brakowało już tylko cztery lata. Jakoś to wytrzyma. Z nauczycielami nie miał problemów, a nawet w dwóch przedmiotach – polskim i geografii – uchodził już za prymusa.

Zamknął oczy i słuchał szumu fal. Ktoś delikatnie dotknął go w ramię. To te dziewczyny, z którymi grał w piłkę.

- Skąd jesteś? Bo my aż z Częstochowy.



- Z Warszawy.
- O, Warszawiak! Nawet nie wyglądasz.
- A jak powinienem wyglądać?
- Bardziej wyniośle. Warszawiacy zawsze zadzierają nosa. Ale jak jesteś ze stolicy, to powinieneś wiedzieć, czy będzie wojna?
- Nie mam pojęcia. Teraz chyba nie. Niemcy są bardziej zajęci Austrią. Ja w każdym razie – tak jak mój ojciec – nie wierzę w wojnę.

Jak wrócili do Warszawy, nie zmienił zdania do marca 1939 roku. Wtedy Niemcy częściowo zajęli Czechy, a polska armia wkroczyła na Zaolzie. Jego ojciec był wstrząśnięty. Któregoś dnia Kazik słyszał rozmowę, jaką ojciec prowadził z kilkoma zaproszonymi na kolację znajomymi.

- Gdyby dziadek żył (tak ojciec, który był oficerem jeszcze w austriackiej armii a potem w II brygadzie Legionów, nazywał Piłsudskiego), to by do tego nie dopuścił. Tyle lat byliśmy z Czechami w jednym państwie i nagle korzystamy z okazji stworzonej przez Niemców! To niemoralne i politycznie błędne!

- Masz rację – powiedział jeden ze znajomych – rządzą nami teraz faceci, którzy dużo mówią o honorze, ale go nie mają. Tylko w propagandzie są dobrzy. Nawet dzieciom w szkole każą śpiewać, jakiego to mamy dobrego wodza. I opowiadają bzdury o niemieckich czołgach z dykty! Jechałem kilka dni temu samochodem do Lipska i mijałem kolumnę czołgów, jadącą chyba do Czech. Zapewniam was, że nie były z dykty ani z tektury! Kaziu – w twojej szkole też śpiewacie na akademiach z patriotycznych okazji, że jesteśmy bardzo silni i mamy genialnego wodza?

- Śpiewamy taką piosenkę, że „nikt nam nie zrobi nic, bo z nami Śmigły Rydz” i że „nasz drogi wódz pomoże nam najeźdźców tłuc”. Właściwie nie my śpiewamy, tylko młodsze klasy. My sobie na zbiórkach harcerskich śpiewamy raczej piosenki harcerskie i legionowe.



- Bardzo dobrze. Nie dajcie się zwariować. Nie wiem, czy będzie wojna, ale może być.

Do końca sierpnia trwały jeszcze wakacje. Kazio był bardzo zadowolony z harcerskiego obozu. Zdobył kilka „sprawności”. Mieli na to więcej czasu, bo mieszkali wprawdzie w namiotach, ale wyżywienie mieli zapewnione w pobliskich budynkach, gdzie organizowano kolonie dla młodszych dzieci. Chodzili tam na śniadania, obiady i kolacje „na drugą zmianę”, czyli po kolonistach. Poza zdobywaniem sprawności Kazik z kilkoma kolegami budowali też proste modele samolotów, napędzane śmigłami poruszanymi skręconą gumą. Grali w szachy, w piłkę, organizowali „podchody” i próbowali podrywać dziewczyny z pobliskiego obozu harcerzek ze znanego, żeńskiego gimnazjum. Słabo im to wychodziło, ale były romantyczne, choć - niestety - platoniczne spotkania na polanach rozświetlonych księżycem, pierwsze pocałunki, spacer z trzymaniem za rączkę. Niektórzy chłopcy chwalili się, że w tych kontaktach zaszli już dalej, że sięgali dziewczynom do „szparek”, a one pomagały im w „brandzlowaniu”, które w ich gronie uchodziło za coś normalnego. Kazio miał podobne doświadczenia z kontaktów podwórkowych w Warszawie, ale na obozie, żadnej dziewczyny nie udało mu się do tego namówić.

Obozy żyły w oderwaniu od bieżących wydarzeń. Drużyna Kazia nie zainstalowała radia i tylko dzięki uprzejmości kierownika pobliskiej kolonii korzystano czasem z telefonu, informując o stanie zdrowia uczestników obozu tych bardziej troskliwych rodziców, którzy sobie tego wyraźnie życzyli. Ojciec Kazia sobie tego nie życzył, ale za to dwa razy przyjechał samochodem i spędził z nim godzinę, na leśnym spacerze.

Do domu Kazik wrócił kilka dni przed końcem sierpnia. Wtedy dopiero dowiedział się o zaostrzającej się sytuacji politycznej, słynnym przemówieniu ministra Becka „o honorze”, o niemieckich żądaniach wydzielenia eksterytorialnego korytarza do Prus Wschodnich. Patrząc z ojcem na mapę Polski wiszącą w gabinecie

specjalnie się temu żądaniu nie dziwili. Niemcy rzeczywiście nie miały lądowego połączenia z własną prowincją. Ale ultymatywny ton tych żądań ojcu się wyraźnie nie podobał.

- Widzisz Kaziu - takie sprawy są do załatwienia w drodze wieloletnich zabiegów dyplomatycznych i najczęściej na zasadach „coś za coś”. Piłsudski – gdyby żył – na pewno by to jakoś rozwiązał, na przykład dając im korytarz, w zamian za całkowite włączenie Gdańska do Polski.

Na trzy dni przed 1 września 1939 r. ojca wezwano do wojska. Jako kapitan rezerwy, miał się stawić aż we Lwowie. A pierwszego września Kazik włączył rano radio i po raz pierwszy usłyszał komunikat: „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy – uwaga, uwaga, nadchodzi na kwadrat B – 8”.

Po pierwszych bombardowaniach przenieśli się z matką z ich unikalnego domku z ogródkiem na Wareckiej, do przyjaciół na Marszałkowskiej. Mieszkali w bardzo solidnym, sześciopiętrowym budynku na pierwszym piętrze. Robiło to wrażenie bardziej bezpiecznego locum, przynajmniej w pewnym stopniu odpornego na bombardowania. Przetrwali tam do końca bombardowań i wejścia Niemców do miasta.

Jak już ucichły wystrzały i odgłosy wybuchających bomb i pocisków artyleryjskich Kazik z synem gospodarzy – Witkiem – poszli na Warecką. Zastali smutny widok. Kazio z trudem hamował łzy. Domek przestał istnieć. Na ocalałej ścianie widać było tylko wypukłe, białe kafle ścianki kuchennej, na której wisiała patelnia i kilka garnków. Reszta była kupką gruzów. Przyjął to spokojnie, ale wiele nerwów kosztowało go przekazanie tej informacji matce. Była zrozpaczona i miał wrażenie, że nie wiedziała, co ma robić. Zostało im tylko kilka walizek odzieży i biżuteria mamy, które zabrali na Marszałkowską.

Następnego dnia usłyszał, że Niemcy będą uroczyście wkraczać do Warszawy w formie niemal defilady w Alejach Jerozolimskich. Pobiegli z Witkiem zobaczyć – nie było daleko. Widać było, że

żołnierze niemieccy są zmęczeni, ale trzeba było przyznać, że mimo to dobrze wyglądali, szli „w nogę”, oficerowie mieli ładne i „wyprasowane” mundury. Ich wyposażenie budziło zazdrość i zupełnie się nie zgadzało z plotkami o „tekturowych czołgach”. Nic nie było słychać poza orkiestrą – zgromadzeni na chodnikach mieszkańcy milczeli i mieli poważne twarze. Kazio pomyślał, że – niestety – tą armię trudno będzie pokonać.

Po kilku dniach wrócił ojciec – zarośnięty i w cywilnym ubraniu. Nie poszedł do niewoli i nie zdecydował się przejść do Rumunii, mimo że z miejsca, w którym był jego oddział, było tam najbliżej. Zmartwił się zburzeniem domu, ale kupił jakiś porządniejszy garnitur i szybko nawiązał swoje kontakty zawodowe. Już po tygodniu zmienili mieszkanie na samodzielne, wynajęte od znajomych, którzy zdecydowali się przenieść pod Warszawę. A po dwóch miesiącach wprowadzili się do bardzo obszernego mieszkania zaprzyjaźnionego żydowskiego adwokata. Prosił o to, bo zaczęły się już represje wobec Żydów i zabierano im mieszkania dla niemieckich urzędników i oficerów, dokwaterowując eksmitowanych do innych rodzin. Pan Szlifer ze swoją piękną żoną chcieli tego uniknąć i woleli ograniczyć się do jednego pokoju, oddając dwa pozostałe rodzinie Kazia. Stworzyli w ten sposób formalnie i faktycznie warunki „zagęszczenia”, a jednocześnie – podpisując antydatowaną fikcyjną umowę najmu – odnotowali w ewidencji budynku, że mieszkanie ma „aryjskich” lokatorów, a oni są tylko sublokatorami.

W słoneczny ranek wrześniowy 1940 roku, Kazio ponownie szedł do szkoły. Poprzedni rok szkolny był w znacznym stopniu stracony. Nowa szkoła była koedukacyjnym gimnazjum zawodowym o handlowym profilu. Nowe doświadczenie, bo przed wojną chodził tylko do szkół męskich. Tutaj w klasie było ponad pięćdziesiąt procent dziewczyn, w tym kilka wyjątkowo ładnych. Zgodnie z wprowadzonymi przez Niemców ograniczeniami nie było lekcji z historii Polski, a lekcje języka polskiego ograniczały się do szlifowania umiejętności pisania. Oczywiście żadnej

historyczno-patriotycznej literatury. Za to – chyba z inicjatywy zespołu nauczycielskiego – bardzo rozbudowane lekcje geografii i biologii. Z kilkoma kolegami z poprzedniej szkoły Kazio chodził oprócz tego na nielegalne lekcje historii i literatury, zwane „kompletami”, organizowane przez nauczycieli zamkniętych gimnazjów ogólnokształcących. Odbывały się one przemennie w mieszkaniach uczniów, w niewielkich grupach, z zachowaniem podstawowych zasad konspiracji.

Ta podwójna ścieżka nauki powodowała, że był nieustannie zmęczony. Chodził jednak chętnie zarówno do szkoły handlowej jak i na komplety, lubił się uczyć i dobrze czuł się w zaprzyjaźnionym młodzieżowym towarzystwie, bez wyjątków patriotycznie nastawionym. Poza tym, w szkole handlowej, obecność dziewczyn procentowała stopniowym ograniczaniem nieśmiałości i stwarzała możliwości nawiązywania męsko – damskich przyjaźni, najczęściej podbudowywanych coraz mniej niewinną erotyką.

Po kilku pierwszych miesiącach okupacji życie toczyło się niemal normalnie. Więcej czasu zajmowało jedynie zdobywanie żywności. Ojciec wrócił do pracy w swoim biurze i – przynajmniej formalnie – nadal zajmował się likwidowaniem majątku „masy upadłości” Południowego Banku Przemysłowego, w porozumieniu z syndykiem – mecenasem Sławomirem Wolskim. Dość często zaglądając do biura ojca w drodze powrotnej ze szkoły, Kazio coraz bardziej był jednak przekonany, że działalność „bankowa” był pozorna, że stanowiła przykrywkę innych zadań. W czasie swoich niespodziewanych wizyt spotykał w gabinecie ojca zupełnie nieznanymi mi panów, a także mecenasa Wolskiego. Przerywali rozmowy, ale to, co słyszał przed wejściem do pokoju, nie miało nic wspólnego z bankiem. Widział także, jak pośpiesznie zwijano jakieś plany i mapy, a raz przez moment zobaczył leżący na biurku pistolet. Dopiero pod koniec powstania, już po śmierci ojca, ktoś powiedział mu, że właśnie w tym biurze był jeden z punktów kontaktowych wywiadu, czy kontrwywiadu AK.

W kwietniu 1941 roku, przyszło do mieszkania trzech niemieckich żołnierzy – w tym jeden oficer, porucznik. Byli w mundurach Wehrmachtu, a nie SS. Zachowywali się sztywno, ale poprawnie. Oficer poinformował ojca Kazia, że jest zatrzymany i zabierają go na Pawiak. Ojciec pokazał mu starą legitymację oficerską armii austrowęgierskiej i poprosił do drugiego pokoju. Kilkanaście minut rozmawiali. Ojciec mówił perfekcyjnie po niemiecku. Po zakończeniu tej rozmowy widać było zmianę stosunku porucznika do ojca – w końcu wyższego stopniem. Wychodząc ojciec powiedział matce i Kaziowi, że wszystko jest możliwe, ale ma nadzieję, że za kilka dni wróci. Prosił matkę, aby zatelefonowała do mecenasa Wolskiego i poinformowała go o zatrzymaniu. Nie wymieniał nazwiska mecenas w obecności niemieckiego oficera, tylko użył określenia „mecenas z banku”.

Po telefonie matki mecenas Wolski zjawiał się natychmiast, mimo że zbliżała się już godzina policyjna. Wypytał dokładnie o przebieg „wizyty” Niemców. Obiecał, że powiadomi, jak się czegoś dowie. Prosił, aby nic nie robić. „Mamy swoje kontakty” – powiedział. „Niech Pani spokojnie czeka”.

Kazik żył „w nerwach”, chociaż trzymał się chyba lepiej, niż matka. Ale po pięciu dniach zadzwonił mecenas i powiedział, że jest szansa na powrót ojca w najbliższych dniach, a nawet godzinach. Rzeczywiście – wieczorem ojciec wrócił do domu, zarośnięty, niedomyty, ale bez śladów bicia. Jak się umył i coś zjadł, usiedli wszyscy przy stole.

- Słuchajcie – nie musicie wiedzieć, kto, jak, dlaczego i z kim załatwił moje zwolnienie z Pawiaka. Ale przyjaciele, znajomi i sąsiedzi mogą się pytać. Przyjmujemy więc taką wersję odpowiedzi: zatrzymano mnie dlatego, że Wehrmacht trafił na mój ślad, jako oficera, który – teoretycznie – powinien być w niewoli. Ktoś z przyjaciół dał jednak łapówkę, komu trzeba i uznano, że skoro utrzymuję rodzinę i mam stałą pracę, to odsyłanie mnie obecnie do obozu jenieckiego jest bez sensu, bo tylko obciąża

niemiecką gospodarkę. Nie bez znaczenia był też fakt, że mam starą legitymację oficerską cesarstwa austrowęgierskiego z czasów I wojny i mogłem rozmawiać po niemiecku. To zaważyło, że Wehrmacht uznał moją sprawę za wewnętrzny „problem” armii i nie przekazał jej do gestapo.

Poza tym incydentem z zatrzymaniem ojca, w czasie dwóch pierwszych lat okupacji niemieckiej, w życiu Kazia i jego rodziny nie działo się nic nadzwyczajnego. Dopiero potem zaszły trzy istotne zmiany, wywierające wpływ na jego, przyspieszone wojną, dojrzewanie.

Pierwsza zmiana była smutna – gospodarza ich mieszkania, mecenasa Szlifiera, wraz z żoną, zmuszono do przeniesienia do getta. Kazio odwiedził ich tam z ojcem po dwóch tygodniach, donosząc jednocześnie paczki z żywnością. To, co tam zastali, było przerażające. W getcie było jeszcze tłoczno. W dużym ruchu na ulicach widać już jednak było wiele, zwłaszcza starszych osób, siedzących pod ścianami domów i żebrzących nawet nie o pieniądze, ale o cokolwiek do jedzenia. Szliferowie mieszkali u krewnych – łącznie chyba 9 osób, w dwóch niewielkich pokojach. Większość spała na kocach na podłodze. Widać było, że przyniesione paczki z żywnością są dla nich niezwykle ważne, że rodzina właściwie głoduje. Powtórzyli więc tą wizytę z jeszcze większymi paczkami dosłownie na kilka dni przed tym, gdy Niemcy ograniczyli możliwości odwiedzania getta przez tzw. ludność aryjską. Utrzymywali potem z nimi kontakt telefoniczny do momentu, w którym – po dłuższej przerwie – Szlifer zadzwonił, powiedział, że żona już nie żyje, a jego mają następnego dnia gdzieś wywieść. Było to już, na kilkanaście dni, przed powstaniem w getcie.

Potem nie było już od nich żadnych wiadomości i Kazik, tak samo jak jego ojciec, nie mieli wątpliwości, że nie żyją. Śmierć tej rodziny Kazio bardzo przeżył, szczególnie dlatego, że w pięknej pani Rozie Szlifer był niemal zakochany i miewał sny erotyczne z jej udziałem. Jego matka też była wstrząśnięta, ale chyba

jeszcze bardziej przeżywała aresztowanie, zabranie do getta i niemal natychmiastowy transport do Oświęcimia jej wieloletniej przyjaciółki. Kazio w ogóle nie wiedział, że pani Czerwska i jej mąż byli Żydami. Nie wiedzieli też o tym ich wspólni znajomi. Jak znaczna część polskiej inteligencji żydowskiego pochodzenia, nie byli religijni i nie uczestniczyli w życiu gminy żydowskiej. Mieli zakład fotograficzny w dobrym punkcie, blisko sklepu Wedla. Maria Czerwska była wysoką blondynką, jeździła z mamą na wakacje nad morze, była bardzo towarzyska i wesoła, zawsze doskonale ubrana. Po zajęciu Warszawy przez Niemców ich zakład był normalnie otwarty. O tym, że są Żydami, Kazio dowiedział się dopiero po ich aresztowaniu. Ojciec miał informacje, że donieśli na nich Polacy, którzy mieli w pobliżu konkurencyjny zakład.

Druga zmiana mieściła się w tym, co często nazywa się „życiem osobistym”. Kazik zaprzyjaźnił się z koleżanką z koedukacyjnej szkoły handlowej, Krysią. Niemal codziennie odprowadzali się po zajęciach, chodzili na spacer do Ogrodu Saskiego, stopniowo do stosunków koleżeńskich wprowadzali nieśmiałe elementy erotyczne. Oboje byli w wieku dojrzewania, traktowali to, jako pierwszą miłość i podświadomie poszukiwali zaspokojenia. Nie decydowali się na normalny stosunek, ale metodą prób i błędów opanowali techniki, w których on pozbywał się stanowiącego syntezę napięcia nasienia, a Krysia osiągała szczyt przyjemności, zbliżony do orgazmu. Robili to w różnych warunkach i różnych miejscach, ale dość często. Od dnia, w którym Krysia zaprosiła go do domu wuja w Międzylesiu, którym się opiekowała w czasie jego kilkudniowego wyjazdu, robili to już niemal rutynowo i bez wstydu. Odwiedził ją tam kilka razy, rozbierali się do naga i robili wszystko, co wiedzieli o normalnych stosunkach – ale jednak bez penetracji. Krysia nadal była dziewicą. mimo że jego penis ocierał się intensywnie o jej waginę, a sperma pozostawała między jej kształtymi udami.

Trzecia zmiana miała decydujące znaczenie. W czasie przerwy w zajęciach szkolnych podszedł do Kazia, relatywnie mało mu



znany, kolega i bez wstępów zapytał: Mówiono mi, że przed wojną byłeś w harcerstwie. Czy teraz coś robisz?

Nic nie robił, ale natychmiast wyraził zainteresowanie. Kolega był wstrzemięźliwy w wyjaśnianiu tego, co rozumiał przez to określenie, ale po kilku dniach zaprosił go do domu, na „takie tam koleżeńskie spotkanie”.

Spotkanie było w godzinach popołudniowych i okazało się zbiórką harcerskiego zastępu. Było sześciu chłopców w podobnym wieku, którymi dowodził właśnie ten kolega ze szkoły. Nieco później przyszedł ktoś znacznie starszy, tak na oko dwudziestoletni. Mówili do niego „Ryszard”, albo „druhu komendancie”. On też dopiero wyjaśnił zebranym, że od tej chwili są zastępem jednej z konspiracyjnych drużyn warszawskich Szarych Szeregów, najmłodszej części harcerskich batalionów. Ich patronem jest Zawisza Czarny, stąd popularnie zwać ich Zawiszakami. Na następnym spotkaniu będzie jeszcze ktoś starszy od niego rangą i w jego obecności złożą przyrzeczenie. Jednak już od dzisiaj obowiązuje ich pełna konspiracja, nie wolno im, nawet rodzinie, opowiadać o tym, co robią i będą robili. Poza normalnym szkoleniem harcerskim będą też uczestniczyć w tzw. małym sabotażu, a nawet mogą być wykorzystywani, jako jednostki pomocnicze w poważniejszych działaniach przeciwko okupantowi.

Zgodnie z tą zapowiedzią, po tygodniu odbyło się kolejne spotkanie w tym samym mieszkaniu. Kolega Kazia – ten, który go „zmobilizował” - powiedział mu na ucho, że zaraz przyjdzie Kuropatwa, komendant warszawskiej chorągwi. Przyszedł i przyjął od nich przyrzeczenie, które było kompilacją przyrzeczenia harcerskiego i przysięgi wojskowej. Coś tam było też o zachowaniu konspiracji, ale Kazio już po kilku dniach nie pamiętał tego tekstu. Jego kalendarz uległ bowiem zasadniczej zmianie, ciągle się spieszył, stale miał jakieś zaległości w nauce i znacznie mniej czasu na spotkania z Krysią. Niemal co drugi dzień musiał poświęcać kilka godzin na działania harcerskiego

oddziału.

Mały sabotaż w ich wykonaniu ograniczał się wprawdzie do realizacji czterech zasadniczych zadań, ale wszystkie były czasochłonne. Zadanie pierwsze – malowanie na ścianach domów tak zwanej kotwicy składającej się z liter PW, czyli Polska Walczy. Robili to zawsze całym zastępem, w przedwieczornych godzinach, przed godziną policyjną. Dwóch chłopców malowało kotwice pędzlami, czarną farbą albo lepikiem. Z czasem dorobili się szablonów, które przyspieszały malowanie i dawały ostrzejsze litery, ale też utrudniały szybkie przemieszczanie i mogły być dowodem „przestępstwa” w przypadku wpadki. Pozostali chłopcy tworzyli obstawę tak rozmieszczoną, aby mogła sygnalizować niebezpieczeństwo, czyli zbliżanie się jakiegoś patrolu, policjanta albo niemieckich żołnierzy. Sygnalizowano najczęściej umówionym gestem lub zdejmowaniem czapek. Malujący musieli obserwować posterunki ostrzegawcze, co w praktyce oznaczało, że przemiennie malował jeden, a drugi obserwował otoczenie. Jeśli sygnalizowano niebezpieczeństwo – przerywali malowanie, chowali kubeczki lub puszki w najbliższej bramie lub załomie muru i zamieniali się w spokojnych przechodniów. Oddział Kazia – także później, kiedy już był zastępowym i drużynowym – nigdy nie miał wpadki. Ale dochodziły do nich informacje, że w innych grupach zdarzały się problemy, kończące się zatrzymaniem malujących.

Bardziej niebezpieczna była realizacja drugiego zadania – zmiany dokonywanej w niemieckich napisach propagandowych „Deutschland siegt auf allen Fronten” (Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach) polegającej na zastępowaniu litery „s” w słowie „siegt” na „l”. Powstawało słowo „liegt” – a więc Niemcy leżą na wszystkich frontach. Robili to także całym zastępem. Operacja trwała jednak dłużej i częściej trzeba było ją przerywać. Było to tym trudniejsze, że napisy umieszczane były zwykle dość wysoko i nie zawsze mieli pomysł, jak do nich dotrzeć i jak szybko się wycofać.

Za to dwa kolejne zadania były łatwiejsze i spokojniejsze.

Pierwsze z nich to obserwowanie mostu kolejowego na Wiśle i liczenie pociągów i wagonów z uzbrojeniem i wojskiem. Zwykle robili to w dwójkę, siedząc na nabrzeżu i udając, że łowią ryby, albo odpoczywają, czytając książki. Notatki z tych obserwacji przekazywali Ryszardowi, a on kierował je dalej – przypuszczali, że do wywiadu AK.

Drugie z tych łatwiejszych zadań wykonywali bez entuzjazmu. Kazano im malować na murach przed kinami napisy „Tylko świnie siedzą w kinie”. Chodziło o to, aby zniechęcić ludzi do korzystania z kin, bo – jak mówiono – część ich dochodów przeznaczana była bezpośrednio na produkcję uzbrojenia. Mimo to uważali, że nie jest to mądry zakaz, bo sami też czasem chodzili do kina na niemieckie komedie. Trudno było znaleźć w okupowanej Warszawie inną, tanią rozrywkę. Raz Kaziowi i jego kolegom kazano rozpylić w kinie Atlantic na Chmielnej gaz łzawiący. Zrobili to niezbyt umiejętnie, uciekali z kina wraz z publicznością i też mieli podrażnione oczy.

Oprócz tych zadań z zakresu „małego sabotażu”, realizowali podstawowe zadanie szkoleniowe, związane z hipotetyczną akcją zbrojną na większą skalę. Nie mówiono wtedy dosłownie o powstaniu, tylko o bliżej nieokreślonej akcji. Szkolono ich, jako potencjalnych łączników – kurierów „dalekiego zasięgu”. Z tym szkoleniem związane było też poszukiwanie przejść między budynkami i podwórkami Śródmieścia, Powiśla, Woli i Mokotowa pozwalające na pokonywanie znacznych odległości, bez wychodzenia na ulice. Rysowali plany takich przejść i przekazywali je innym zastępom i drużynom. Ta orientacja bardzo przydała się Kaziowi w czasie Powstania, kiedy – właśnie, jako łącznik – musiał czasem dostarczać przesyłki do odległych placówek, położonych w strefie „niczyjej”, lub nieustannie atakowanej.

Latem 1943 roku nastąpiła jeszcze jedna zmiana – tym razem o wyraźnie seksualnym charakterze. Sporadyczne wyładowania z Krysią uspakajały rozwijający się temperament Kazia na kilka

wieczornych godzin. Ale już nad ranem następnego dnia budziła go bolesna erekcja, która ustępowała tylko po onanistycznych zabiegach. Ślady tej „rozpusty” zauważyła zapewne matka przy porządkowaniu pościeli. Kiedy stwierdziła, że świeżo zmieniana pościel ma już takie ślady niemal po każdej nocy – powiedziała o tym ojcu. Nie zaniepokoił się, ale korzystając ze wspólnego z Kaziem wyjścia do łaźni „Pod Mesalką” i odpoczynku po kąpieli, poruszył ten temat.

- Słuchaj – powiedział do leżącego na sąsiedniej leżance Kazia – wiem, że masz jakąś dziewczynę i martwię się, żebyście nie zrobili głupstwa. Może już dojrzałeś do tego, abym załatwił ci spotkania z jedną z moich znajomych. Będiesz mógł mieć normalny stosunek z kobietą i nauczysz się bezpiecznego seksu.

Kazia najpierw zatkało i nie wiedział, co ma odpowiedzieć. W końcu wykrztusił:

- Jakoś dajemy sobie radę, ale jak jest taka możliwość, to oczywiście chętnie się umówię na takie spotkanie. Bo to, co robię z moją Krysią, to jest tylko taka imitacja.

Ojciec zaśmiał się.

- Nie musisz z nią przerywać tych „szkolnych zajęć”. Powinieneś to jakoś pogodzić. Powiem ci, gdzie, kiedy i z kim będziesz umówiony na pierwsze spotkanie. Potem sami uzgodnicie, jak często będziesz tę panią odwiedzał.

Po kilku dniach wyszli razem po jakieś zakupy. Już wradzając do domu ojciec powiedział, że umówił go na spotkanie z „panią” w mieszkaniu na Żurawiej. Następnego dnia po szesnastej.

- Ale kto to jest – spytał?

- Zdziwisz się, ale dobrze ją znasz, To pani Hela. Jest – jak zapewne wiesz – wdową, sama mieszka, ma około czterdziestki i nie zachodzi w ciążę po operacji, jaką miała parę lat temu. Trochę się zastanawiała, ale w końcu ją przekonałem. Wszystkiego cię nauczysz i nie będziesz musiał uważać.

Kazio był zadowolony. Lubił panią Helę. Mała brunetka, wdowa

po znajomym ojca, podobno z gruzińskimi korzeniami. Wszyscy wiedzieli, że czasem sypia z ojcem. Uznał, że łatwiej przełamać swoją nieśmiałość, przy pierwszym kontakcie w tym nowym charakterze.

Poszło rzeczywiście gładko. Pani Hela czekała na niego w szlafroku, dała mu ręcznik, kazała wziąć prysznic i wrócić do sypialni już bez ubrania. Robiła wrażenie nieco zdenerwowanej.

- Jak się umyjesz, to już się nie ubieraj. Pewnie masz tremę – ja zresztą także. To trochę nienormalne, że mam iść z tobą do łóżka.. W końcu formalnie jesteś jeszcze dzieckiem. Ale twój ojciec twierdził, że już tego potrzebujesz. Obiecałam, więc to zrobimy i zobaczymy, czy to ma sens.

Jak wyszedł z łazienki leżała nago na podwójnym łóżku, z lekko rozchyłonymi nogami. Trochę się bronił, ale wzięła do ust i szybko usztywniła jego męskość. Potem usiadła na jego udach, popatrzyła w dół i jakby nieco zmienionym, bardziej ochrypłym głosem powiedziała:

- Jak na 16 lat to ci sporo urosło. I pewnie będzie jeszcze większe. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się. Teraz go włożę. Nie hamuj się. Wiesz, że nie zachodzę w ciążę i możesz się w każdej chwili wyładować.

Dość głośno westchnęła wprowadzając jego członka w waginę. Zrobiło mu się gorąco i poczuł, że jeszcze bardziej sztywnieje. Odbyli normalny i dość długi stosunek. Parę razy był blisko wytrysku, ale jednak się hamował. Pod koniec powiedziała, że łatwiej osiąga maksymalną przyjemność”, czyli orgazm, w pozycji „na pieska”. Kazio nie bardzo wiedział, na czym polega orgazm kobiety i jak ma wyglądać ta pozycja, ale w końcu ustawili się w odpowiedni sposób. Zbliżając się do ejakulacji po raz pierwszy w życiu poczuł przypływ instynktownej brutalności, widział tylko jej wypięte pośladki i dwa razy w nie uderzył. Głośno krzyknęła, opuściła głowę i poczuł, że jej biodra wpadły na chwilę w wyraźnie wyczuwalne drgawki. Wtedy już nie wytrzymał i spuścił się, nie

mogąc powstrzymać charkotliwego okrzyku. Miał kilka skurczy i wydawało mu się, że jeszcze nigdy nie wyrzucił tyle spermy. Ten pierwszy wytrysk w waginę kobiety wpłynął na całe jego życie seksualne. Stał się naturalistą, zdecydowanie preferującym takie właśnie zakończenie stosunku. Zawsze do niego dążył, traktując wyrzucanie spermy na kobietę, a nawet w jej usta, czy w odbyt, jako coś zastępczego.

Kiedy już odpoczywali powiedziała coś, co podbudowało na wiele lat jego poczucie męskości.

- Zupełnie mnie zaskoczyłeś. Nawet nie myślałam, że mogę mieć taką przyjemność z dzieciakiem! Jak na swój wiek, jesteś bardzo dobrze rozwinięty. Idziesz w ślady ojca, – bo chyba nie masz wątpliwości, że go dobrze znam z tej strony. Kiedyś często u mnie bywał, a i teraz czasem mnie używa. I masz zaczątki powściągliwej brutalności, a kobiety to podświadomie lubią. Było mi całkiem dobrze, więc będę to traktować nie tylko, jako szkolenie. Ustalmy dzień w tygodniu i godzinę, kiedy masz więcej czasu i będziesz mnie odwiedzał. Nie musisz być długo – wystarczy godzina, albo i krócej. A gdybyś czuł nieodpartą potrzebę dodatkowego spotkania, to zadzwoń.

Po kilku tygodniach wyraźnie się zaprzyjaźnili. Pani Hela miała bujny temperament, aktualnie nie miała stałego kochanka i sama mu przypominała o następnym spotkaniu. Jak mówiła – zapełnił jej lukę, bo bez orgazmu, chociaż raz w tygodniu, „źle funkcjonuje”. Sama też wystąpiła z „niemoralną, ale logiczną” – jak powiedziała – inicjatywą, częściowego pogodzenia ich kontaktów, z jego „ćwiczeniami” z Krysią. Co pewien czas zabierał Krysię na ostatnie piętro klatki schodowej w domu Heli, gdzie było tylko jedno mieszkanie należące do kogoś, kto często i na długo wyjeżdżał. Mogli tam spokojnie uprawiać pozorowany seks, który Kazik kończył udawaną ejakulacją. Potem prosił ją, aby kilkanaście minut poczekała na niego na ulicy, „bo musi na chwilę wpaść do znajomej ojca, której pomaga „załatwiać różne sprawy”. Z Helą wcześniej uzgadniał przybliżoną godzinę. Otwierała drzwi,

szedł na chwilę do łazienki. Czekala na niego na tapczanie z rozchyłonymi udami, eksponując imponujący, sięgający prawie do pępka, czarny zarost waginy. Niemal zawsze cichym, drgającym z pożądania głosem mówiła:

- No to wyrzuć to we mnie!

Nie rozbierał się. Wprowadzał w nią ciągle nabrzmiałą, niezaspokojoną męskość i po kilkunastu ruchach zostawiał nasienie w jej wnętrzu. Całował i wychodził. Miał wtedy zawsze coś, w rodzaju wyrzutów sumienia. Ale ona tłumaczyła, że marnowanie nasienia jest bezsensowne i „właściwie grzeszne”, że jest ono potrzebne organizmowi kobiety. I tak się podniecała tą „niemoralną” sytuacją, że nawet ten kilkuminutowy seks doprowadzał ją czasem do orgazmu.

Ich przyjaźń i kontakty seksualne trwały do sierpnia 1944 - czyli do Powstania.

Wspominając ten okres w późniejszych latach Kazio dochodził do wniosku, że lata 1943 - 44 były końcem jego dzieciństwa. Działania w konspiracji, relatywnie wczesne rozpoczęcie normalnego współżycia z kobietą, a potem Powstanie i pobyt w obozach jenieckich spowodowały, że dojrzywał szybciej, niż wielu kolegów. Fizycznie jeszcze nie był, ale psychicznie czuł się mężczyzną. I podświadomie żałował, że miał tak krótkie dzieciństwo.

W końcu 1943 roku chciał koniecznie przejść z grupy Zawiszek Szarych Szeregów do trochę starszych harcerzy - BS-ów, czyli Batalionów Szturmowych, zajmujących się poważniejszym sabotażem i pomocą w akcjach zbrojnych. Powiedział o tym Ryszardowi, ale po kilku dniach dostał odpowiedź odmowną. Powiedziano mu, że w śródmieściu Warszawy trzeba zorganizować jeszcze jedną drużynę i że dostaje takie zadanie. „Na osłodę” tej odmowy wpisano go do podoficerskiej szkoły „Wiarus”.

Zajęcia „teoretyczne” w tej szkole odbywały się w budynku

gimnazjum przy ulicy Śniadeckich, gdzie pozorowano lekcje ze ślusarstwa. Na ławkach leżały podręczniki ślusarstwa i narzędzia. Przynoszono rozebrane na części najbardziej popularne pistolety i rewolwery – takie jak niemieckie Parabellum, polskie Visy, rosyjski Nagan, a także pistolety

maszynowe - angielski, niezawodny sten, a także bardziej skomplikowany niemiecki schmeisser.

Zajęcia terenowe odbywały się w tych samych okolicznych lasach, w których jego drużyna także organizowała harcerskie ćwiczenia. Najczęściej jeżdżono wąskotorową „Ciuchcią”, do lasów między Markami a Radzyminem i także „ciuchcią” z Wilanowa do Konstancina i lasów kabackich. Nie gardzono jednak także mniejszym lasem między Aninem, Starą Miłosną i Międzylesiem a także początkiem puszczy Kampinoskiej. Kazik zapamiętał taki „obrazek” świadczący z jednej strony o pewnej nieostrożności konspiracyjnej, a z drugiej o stosunku ludności cywilnej do młodych konspiratorów. Kiedy, w upalny dzień, po intensywnych i parogodzinnych ćwiczeniach w lesie za Markami dotarli większą grupą do małego sklepiku, wykupili i wypili wszystkie napoje, – czyli wtedy głównie „lemoniady”, – jakie w nim były. Nie dla wszystkich starczyło. Ale właściciel zorientował się w charakterze gości, nalał do sporej beczki zimnej wodę ze studni i wlał do niej kilka butelek soku wiśniowego. Nabierali tą wodę z sokiem dużą łyżką do zupy i wlewali do kubków i manierek, bo niektórzy je mieli, Właściciel sklepiku patrzył na to z uśmiechem i niemal się obraził, kiedy zaproponowano mu zapłatę za ten dodatkowy poczęstunek. Powiedział, że od „polskiego wojska” za wodę pieniędzy nie bierze. A wiśnie rosną u niego w ogrodzie.

Rekrutacja nowej drużyny poszła wyjątkowo szybko. W uzgodnieniu z „górami” najpierw Kazik sam przyjął pięciu chłopców wytypowanych na zastępowych. Tylko jeden był kolegą ze szkoły handlowej, jeden z „kompletów” i aż trzech z sąsiednich podwórek. Tacy chłopcy rezydujący w wolnych chwilach „pod trzepakiem”, ale inteligentni, chętni i wyglądający na odważnych.



Przyrzeczenie złożyli u niego w domu, w obecności Ryszarda. Potem oni kompletowali swoje zastępy. Miało więc być pięć zastępów po 5 osób. Ale przyjęto aż trzydziestu, bo zawsze znajdowali się „koledzy kolegów”, których trudno było rozdzielić.

Po pewnym czasie do zastępu prowadzonego przez chłopca o pseudonimie „Stefan”, który mieszkał na Chmielnej, dołączyły dwie dziewczyny, „pracujące” w jednym, z licznych na tej ulicy, małych domów publicznych. Ryszard i Kazik początkowo mieli wątpliwości, ale przestali je mieć, po poznaniu dziewczyn. Obie właściwie utrzymywały rodziny, w których były chore matki lub chore dzieci. Przed południem miały dużo wolnego czasu, doskonale znały Śródmieście i pokazały chłopcom kilka interesujących przejść, o których nie wiedzieli. Starano się nie wypominać im „zawodu” a tym bardziej nie robić im propozycji pomocy chłopcom w tym zakresie. Stefanowi i Kaziowi opowiedziały natomiast, że często mają klientów Niemców – żołnierzy, podoficerów, a nawet niższych stopniem oficerów Wehrmachtu. Stęsknieni za domową atmosferą zwierzają im się, skąd dokładnie pochodzą, dokąd mają ich wysyłać, a nawet, z jakich są jednostek. Powiedzieli o tym Ryszardowi. Po kilku dniach przekazano im polecenie, aby te informacje od dziewczyn spisywać i dostarczać Ryszardowi. Od niego jakąś „drogą służbową” podobno docierały do komórki wywiadu AK i – także podobno – stanowiły cenne uzupełnienie analiz ruchu niemieckich wojsk, zwłaszcza związanych z frontem wschodnim.

## **Drugi zakręt – Powstanie Warszawskie**

W środowisku Kazia nie mówiło się dosłownie o powstaniu. Szykowano się tylko na jakąś większą akcję, w której będą też wyznaczone zadania dla najmłodszych oddziałów harcerskich, – czyli Szarych Szeregów. W lipcu 1944 roku był nawet próbny

alarm. O wyznaczonej godzinie wszystkie zastępy drużyny zebrały się w miejscach ich najczęstszych zbiórek – jeden także u niego w mieszkaniu. Łącznicy z komendy chorągwi warszawskiej dotarli do nich o ustalonej godzinie i przekazali dalsze rozkazy – kierując wszystkich do miejsc zgrupowań. To zadziało. Ale 1-go sierpnia zastęp w jego mieszkaniu zebrał się przed czwartą popołudniu, jednak łącznik nie przyszedł. Oczekano godzinę i Kazio postanowił wykonać rozkaz rezerwowy – zgłosić się do najbliższej, uruchomionej już jednostki. Skorzystano przy tym z pomocy starszych kolegów – braci, mieszkających na niższym piętrze, w tej samej klatce schodowej. Kazik wiedział – bo w końcu konspiracja nie była aż tak szczelna, – że są w AK. Właśnie wychodzili i zabrali cały zastęp ze sobą do sztabu Batalionu Kiliński, który organizował właśnie „miejsce postoju”, w budynku na Świętokrzyskiej, przy skrzyżowaniu z Jasną.

Na Jasnej zameldowano się u oficera dyżurnego. Kazik wyjaśnił krótko, kim są i powiedział, że mają przeszkolenie „łącznościowe”, a tym samym względnie pełne rozpoznanie „geograficzne” w Śródmieściu i na Powiślu. Oddają się do dyspozycji, ale jak już będą wiedzieli, gdzie znajdują się ich macierzyste jednostki harcurskie, to się odmeldują. Oficer wyraźnie się ucieszył, odnotował ich pseudonimy i skontaktował z innym oficerem, który od razu przydzielił im pierwsze zadania. Także robił wrażenie, że „spadli mu z nieba”, bo łączników wyraźnie brakowało.

Tego pierwszego popołudnia, wieczoru i nocy w Kilińskim wysyłano Kazia pięć razy, do stosunkowo blisko zlokalizowanych placówek, z rozkazami i z amunicją. W przerwach spał na biurku, bo cały sztab zajmował jakieś biuro.

Rano, 2 sierpnia usłyszeli krzyki, że czołgi niemieckie wjechały na Plac Napoleona. Wszyscy wolni łącznicy, jako nieformalna „rezerwa” pobiegli w tą stronę. Kazik też. Ktoś dał mu dwie butelki z naftą i szmacianymi lontami – znane później, jako „koktajle Mołotowa”. Dobiegli skrótami do budynków na placu Napoleona u wylotu Szpitalnej. Rzeczywiście – Kazik zobaczył

dwa czołgi. Jeden już trochę płonął obrzucany butelkami i granatami. Drugi ostrzeliwał budynki z karabinu maszynowego. Ukryty w załomie bramy rzucił swoje dwie butelki, z podniecenia i strachu zapominając zapalić lonty. Ale trafiły koło pierwszego czołgu i zapaliły się od płonącej nafty, z wcześniej rzuconych butelek. Tym niezbyt celnym „rzutem butelką” Kazio zaczął swój blisko półtoraroczny epizod powstańczo – jeniecki i całkowicie samodzielne życie.

Z około dwudziestodniowego pobytu u „Kilińskiego”, bo potem wrócił do macierzystego oddziału, pozostały mu w pamięci wielokrotne przejścia do wysuniętego w kierunku Woli tak zwanego dziewiątego SOPu, czyli Służby Ochrony Powstania. Miał to być rodzaj żandarmerii, ale w praktyce stał się normalnym oddziałem liniowym. Pierwszy raz wysłano go tam ze znacznie starszą i niezbyt sympatyczną dziewczyną, która już wiedziała jak dojść do ich czołowych barykad. Potem chodził „autorską” trasą, trochę przejściowymi domami i piwnicami, trochę „wierzchem”, często w nocy, wśród palących się domów. Nie tyle najtrudniejszy, co najbardziej ryzykowny, był „przeskok” przez Marszałkowską, która była ostrzeliwana z Ogrodu Saskiego i początkowo także z PASTy. Raz przestrzelono mu bluzę na pochylonych plecach. Służyła mu jeszcze w niewoli i – zdaniem kolegów – przynosiła szczęście. Któregoś dnia na apelu łączników pochwalono go i kilku innych kolegów za utrzymywanie łączności z odległymi oddziałami, co – oczywiście – pozytywnie „przeżył”.

W czasie jednego z nocnych przejść do 9-go SOPu wzbogacił się – ku zazdrości kolegów – w pistolet Walter 7 mm, w kaburze z dodatkowym magazynkiem. Nie było w tym nic bohaterskiego. Zatrzymał się, aby przeczekać spadające belki z płonącego domu i w zakamarku gruzów zobaczył leżący w kurzu pistolet, z kaburą i paskiem, ale bez koalicyjki. Zastanawiał się później z kolegami, skąd tam się znalazł. Niemieccy oficerowie nie wyrzucali pistoletów nawet w chwilach zagrożenia – zresztą najczęściej mieli pistolety Parabellum o kalibrze 9 mm. „Siódemki” mieli

natomiast często oficerowie i podoficerowie organizacji Todta i część folksdojczów. Nie jest więc wykluczone, że pistolet wyrzucił ktoś z tych dwóch grup, kto miał cywilne ubranie, mówił po polsku, był odcięty od „swoich” i chciał się „wtopić” w tłum. Kazio nosił dumnie ten pistolet na lince z aluminiowych koralików do czyszczenia luf karabinowych (było to modne), ale używał go rzadko i „gościnnie”, jak donosił przesyłki na wysunięte pozycje. Bardziej „dla fasonu” niż z potrzeby, – bo nawet nie widział ukrytych przeciwników. Trudno było zresztą o amunicję do „siódemek”, a ich przydatność w walkach ulicznych była znikoma.

Z tego okresu Kazikowi pozostało także bardzo smutne wspomnienie. W czasie nalotu „Sztukasów” kula z lotniczego karabinu maszynowego trafiła jego ojca, kapitana AK, który działał też w sztabie Batalionu Kiliński. Kazio w ogóle nie wiedział co ojciec tam robił i zobaczył go dopiero na noszach, wynieszonego z budynku na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej. Wrócił właśnie z jakiejś trasy. Pomógł zanieść go do prowizorycznego szpitala w podziemiach PKO na Świętokrzyskiej. Leżał tam chyba ponad dwa tygodnie i Kazik kilkakrotnie go odwiedzał. Raz czy dwa udało mi się nawet przyprowadzić matkę. Potem przeniesiono go na drugą stronę Alej Jerozolimskich, gdzie zmarł po nocnym krwotoku z rany. Kazio dowiedział się o tym dopiero po kilku dniach i mówiono mu, że ojcu chyba zaszkodził transport. Krwotok nastąpił w czasie snu, późno go zauważono a lekarz nie miał żadnych środków pozwalających na skuteczne jego opanowanie.

Po poddaniu się niemieckiej załogi PASTy Kazio był w grupie obserwujących wychodzenie jeńców. To niezapomniany moment radości. Od tego momentu przejścia przez Marszałkowską stały się bardziej bezpieczne, choć sporadyczny ostrzał z ogrodu Saskiego nadal się zdarzał.

Reszta jego kurierskich osiągnięć widocznie nie była tak trudna, aby pozostawić bardziej wyraziste obrazy w pamięci. Chodził na Powiśle, za Aleje Jerozolimskie, próbował przejść na Mokotów.

Trochę nerwowo przeżył donoszenie amunicji do wysuniętych placówek – najpierw blisko Zachęty a potem Kościoła Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Na Powiślu raz widział radzieckiego radiotelegrafistę.

Łącznicy z jego grupy byli jednak wykorzystywani także do innych zadań. Przez ponad tydzień wraz z kolegami pilnował dojścia do skarbców istniejącego także współcześnie banku „Pod Orłami”, na placyku na skrzyżowaniu ul. Jasnej, Zgoda i Złotej. Wejścia do skarbcza były znacznie uszkodzone. Palili ogniska (najczęściej też na tym na placyku) sygnalizujące miejsca pożądanych zrzutów, przez niemal co noc latające radzieckie kukuruźniki - hałaśliwe i powolne ale niezawodne dwupłatowce. Kazio pamięta, co zrzucali, bo sam to kilkakrotnie otwierał. Suchary, trochę konserw typu „tuszonka”, raz nawet ziemniaki (w workach,), ale też dobre granaty F1, amunicję dziewiątkę (niestety – o ułamek milimetra niepasującą do niemieckich karabinów i pistoletów maszynowych). To Kazio widział, ale podobno zrzucali też pepesze. Latali tak nisko, że część „zaopatrzenia” zrzucali bez normalnych spadochronów, które zapewne i tak nie zdążyłyby się otworzyć. Czasem stosowali małe spadochrony „zrzutowe”, a czasem w ogóle nie było spadochronu. Jak nie trafili w oznaczone ogniskami placyki, to beczki i pojemniki metalowe, a także worki z grubej tkaniny, przebijały dachy domów i – oczywiście nieco uszkodzone - lądowały na strychach. Kazio widział też słynne zrzuty z liberatorów, lecących aż z Włoch. Niestety – w jego rejon te zrzuty nie docierały. Znaczna ich część spadła na pozycje niemieckie.

Z oderwanych obrazów, zapamiętał leżące i ciągle „odnawiane” zwłoki na wspomnianym placyku łączącym ulice Zgoda i Jasną, wyciąganie wraz z kolegami rannych i zabitych z trafionych bombami domów na Sienkiewicza, pomaganie przy wychodzeniu z włazów kanałowych dziewczynom i chłopcom, którzy dotarli do Śródmieścia po upadku Starówki. Niektórzy byli w bardzo złym stanie.

Dodatkowe zadania i związane z nimi wspomnienia nie zmieniały faktu, że Kazik głównie działał, jako przeszkolony w harcerskiej konspiracji łącznik – niektórzy mówili „kurier”, albo „łącznik dalekiego zasięgu”, nieźle poruszający się po mieście nawet wtedy, gdy trzeba było omijać zajęte lub ostrzeliwane przez Niemców ulice. Chodził często piwnicami, w których mieszkańcy powybijali ściany łączące je z sąsiednimi domami i podwórkami, wdrapując się na oddzielające je mury i płoty. Czasem ktoś do niego strzelał, czasem zmieniał zaplanowaną trasę, omijając płonące budynki i ulice.

Takie „rutynowe” zajęcia miał zarówno w Kilińskim jak i w sztabie harcerskich batalionów. Trochę był więc zaskoczony, gdy pewnego dnia w ostatniej dekadzie sierpnia ustawiono go z dwoma kolegami w szeregu z trzema łącznikami z innych oddziałów i powiedziano, że muszą przejść kanałami na Starówkę, czyli na Stare Miasto. Tylko jeden z tych „obcych”, nieco starszy wiekiem i stopniem, raz już pokonywał tą trasę i miał być ich przewodnikiem i dowódcą. Kiedy zapoznawali się z zadaniem dano jednak znać, że – niestety – kanał, którym normalnie można było przejść pierwszy odcinek trasy pod Marszałkowską, od Świętokrzyskiej do Królewskiej, jest zalany. Starszy cywil, który robił wrażenie pracownika sieci miejskich kanałów, powiedział, że aktualnie pozostawała możliwość przejścia do Królewskiej z placu Napoleona (Powstańców Warszawy) niskim, chyba 60-, 65-centymetrowym, kanałem pod ulicą Mazowiecką. Proponował to wyraźnie bez entuzjazmu i chyba żeby ich odprężyć i pocieszyć, nazywał ten odcinek pieszczotliwie i lekceważąco „kanałkiem”.

Ten sam fachowiec powiedział im, że mogą być dwie metody przejścia tego odcinka. „Kanałek” jest do połowy wypełniony wodą z fekaliami, więc głowę trzeba trzymać możliwie wysoko, pod zaokrąglonym „sufitem” Trzeba, zatem iść na czworakach, czyli na kolanach, podpierając się z przodu możliwie wyciągniętymi rękami. Ale można też przygotować sobie odpowiedniej długości kijek i opierać go o schodzące w dół

„jajkowate” ścianki kanału. Wtedy utrzymanie głowy na odpowiedniej wysokości było – teoretycznie – łatwiejsze, ale trzeba było iść „skokami kangura”, przesuwając kijek o kilkanaście centymetrów po każdym kroku kolan.

Wypełnione rozkazami i formalnymi informacjami w kopertach, kilkoma kilogramami amunicji i dodatkowo wciśniętą w wolne miejsca korespondencją z Poczty Harcerskiej, niewielkie, ale ciężkie plecaki zawiesili na piersiach i kolejno weszli do kanału, włączając na rogu ulicy Mazowieckiej i Świętokrzyskiej. W ostatniej chwili dodano im jeszcze po dwa granaty tzw. filipinki rodzimej produkcji i F1 z radzieckich, nocnych zrzutów. Na Starówce granatów także brakowało.

Wejście z pogodnego, jasnego poranku w śmierzdzący mrok włązu było wstrząsem. Nie było to przerażenie, którego w młodości niemal się nie odczuwa, tylko wstręt przed smrodliwym brudem i niemal całkowitą ciemnością, co kilkadziesiąt metrów rozświetlaną tylko nikłym światłem z ulicznych kanałów ściekowych.

Kazio szedł jako trzeci. Na tym odcinku nie było żadnej możliwości wyprzedzania ani cofania. Jeśli ktoś kondycyjnie nie wytrzymał i musiał się na chwilę zatrzymać, to wszyscy musieli stanąć, starając się utrzymywać tylko „kontakt głosowy” z czołówką. Wszyscy mieli latarki na tzw. płaskie baterie. Zawiesili je na szyjach, dość ciasno, aby nie opadały w dół i nie zamokły. Uzgodnili też przed wejściem, że oszczędzają baterie i zapalone będą tylko latarki prowadzącego i ostatniego w „peletonie”.

Już po kilkudziesięciu metrach Kazio zostawił kijek i szedł „klasycznie” na czworakach, podpierając się rękami. Nie potrafił opanować „skoków kangura” a jego głowa zbyt często i zbyt mocno stykała się z sufitem kanału. Bez kijka ten styk był łagodniejszy, ale za to częściej szorował o sufit plecami. Najpierw rozerwała się bluza i koszula, a potem poczuł ból zdzieranej skóry. Pomyślał, że zamiast kijka mógł postarać się o jakieś

rękawice – były by bardziej przydatne. Kiedy zepsuła się latarka prowadzącego i na kilka minut zapadła niemal całkowita ciemność, poczuł się jak mysz w ciasnej pułapce. I wtedy – po raz pierwszy w życiu – z trudem opanował strach i czającą się za nim panikę.

Mazowiecką do placu Małachowskiego i Królewskiej, a więc około pół kilometra, szli tak ponad dwie godziny, odpoczywając, co kilkadziesiąt metrów. To był najmniejszy (szerokością i wysokością) kanałek, z jakim, w czasie powstania, zawarł znajomość. Odetchnęli, kiedy doczłógali się do Królewskiej.

Pod Królewską biegł burzowiec – obszerny kanał, wyposażony nawet po bokach w wąskie chodniki. Można było na nich usiąść i nieco się opłukać znacznie czystszyimi ściekami, wartko płynącymi w stronę Wisły. Spotkali tam grupę kilku łączniczek idących z Powiśla do Śródmieścia. Zrobiło się niemal wesoło. Dziewczyny obejrzały ich oskrobane plecy. Obmyły je wodą z nielicznych manierek dźwiganych przez bardziej zapobiegliwych kolegów i oblały kroplami wody kolońskiej, której buteleczkę miała jedna z nich. Po doświadczeniach grupy Kazika w „kanałku”, postanowiły przejść bliżej Marszałkowskiej i poczekać na opadnięcie poziomu ścieków. Potrzeba seksu dała o sobie znać nawet w tych warunkach. Dwóch starszych kolegów Kazia zajęło się dwiema dziewczynami i w niewielkim oddaleniu od całej grupy, pieprzyli je „na pieska”, oparte o ściany kanału. Kazik się trochę podniecił, w spodniach zrobiło mu się ciasno, ale nawet nie wyjął nabrzmiałego członka. Potem żałował, bo kolejna z dziewczyn, też wyraźnie podniecona widokiem kopulujących par, dawała mu do zrozumienia, że może się także „nastawić”.

Po niemal godzinnym odpoczynku przeszli kawałek pod Królewską i skręcili w kanał pod Placem Piłsudskiego. Był na tyle wysoki, że można było w nim iść z pochyloną głową. Wiedzieli od prowadzącego, że muszą iść cicho, bo Niemcy mają otwarte niektóre włazy i jak coś słyszą, to wrzucają pojemniki z jakimś gazem. Gdyby ich to spotkało, to mieli wówczas położyć się



i oddychać powietrzem z warstwy nad ściekiem. Gaz był lżejszy, wypełniał górną część kanału i stopniowo wylatywał przez otwory ściekowe. To ostrzeżenie i porady się przydały, bo rzeczywiście w połowie drogi pod placem wrzucono im taki „zastrzyk” gazu. Leżeli w ścieku chyba kolejną godzinę, zanim powietrze w górnej warstwie nadawało się do oddychania. Na wszelki wypadek jednak nie wstawali tylko znowu na czworakach doszli do kanału pod ulicą Wierzbową. Tam już gaz nie docierał. Kanał był niższy, ale można było iść mocno się pochylając i znowu uważając na bolące plecy.

Już bez większych przeszkód doszli do Trębackiej, Focha i Daniłowiczowskiej. Jeden z włazów był otwarty i tam już na nich czekano. Wyładowali plecaki. Koperty z rozkazami, amunicja i granaty zostały natychmiast zabrane przez chłopców z batalionu Zośka. Oprócz nich jednak zebrał się mały tłumek cywili. Poczta harcerska na Starówce chyba w ogóle, albo już, nie działała, więc ludzie zabrali prywatną korespondencję adresowaną blisko ich miejsca zamieszkania i zasypali ich pytaniami o sytuację w Śródmieściu, o stan niektórych ulic i domów, w których pytający mieli krewnych lub przyjaciół. Starówka wyglądała już jak morze gruzów i niektórzy nie chcieli wierzyć, że w Śródmieściu są jeszcze niezniszczone ulice.

Nagle ktoś objął Kazia z tyłu. Odwrócił się – to był „Wacek”, porucznik z Zośki. Był znacznie starszy od niego, ale znali się dobrze jeszcze z konspiracji, bo Wacek stykał się także z młodszymi Szarymi Szeregami. Spojrzał na oczy Kazia, dotknął czoła i orzekł, że ma wysoką gorączkę. Miał rację, Kazio czuł się źle i był potwornie zmęczony. Organizm reagował chyba na to zmęczenie.

Po ustaleniu z resztą grupy, że wracają następnego dnia i spotykają się na Daniłowiczowskiej o siódmej rano, Wacek zaprowadził Kazia i jego dwóch kolegów do jakiejś dużej sali, na parterze zniszczonego domu. Trudno było ocenić, czy to była szkoła, czy restauracja, czy też jakiś warsztat. W każdym razie

leżało w niej kilkadziesiąt osób, część rozmawiała, część spała przykryta brudnymi kocami, zasłonami okiennymi, albo starymi płaszcami. Znaleźli miejsce, stare koce, a nawet sanitariuszkę z termometrem. Kazio miał prawie 39 stopni. Sanitariuszka przyniosła puszkę po konserwie z jakąś słodką i gorącą kaszą, a Wacek znalazł w swoim chlebaku kawałki zeschniętego chleba. Zjedli to, Kazio pożegnał się z Wackiem i twardo zasnął.

Obudził się nad ranem. Koło niego układała się jakaś dziewczyna. Przykryła się jego kocem i odwróciła tyłem. Zrobiło się cieplej i przyciśnięty do jej pośladków penis zaczął mu sztywnieć. Instynktownie zaczął go przyciskać i położył rękę na jej biodrze. Po kilku minutach odwróciła nieco głowę.

- Nie dajesz mi zasnąć. Jak cię tak przyparło, to opuszczę spodnie i możesz mi włożyć. Tylko nie spuszczaaj się do środka – może przeżyjemy i nie zamierzam urodzić twego dzieciaka.

Nie odpowiedział, tylko z westchnieniem ulgi sięgnął do jej szpary i włożył już całkiem twardego członka. Przypomniało mu się podniecenie z kanału. Podziałało to mobilizująco i spuścił się szybko, wyrzucając spermę na jej odsłonięty częściowo pośladek. Wytarł znalezioną w swojej kieszeni brudną chusteczką. Znowu odwróciła głowę.

- Lżej ci? To śpij – jest dopiero koło trzeciej.

- Dobrze. Ale powiedz, chociaż, jak masz na imię.

- Iwona. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Nawet jak przeżyjemy, to już się pewnie nie zobaczymy. A ty w mojej pamięci zostaniesz, jako numer szósty.

- Dlaczego?

- Bo jesteś szósty, którego zaliczyłam od czasu tej naszej awantury. I pomyśleć, że byłam taką skromną i porządną panienką, która dopiero przed rokiem straciła cnotę! Widzisz, co wojna robi z ludźmi!

Usłyszał, że cicho zachichotała.

- Nie przejmuj się. Zostaną ci fajne wspomnienia. I sześciu, to

znowu nie tak dużo.

- Nie przejmuję się. Nikt się zresztą teraz nie przejmuje takimi drobiazgami. Nikt nie wie, czy dożyje następnego dnia. I tak jestem skromniejsza od mojej przyjaciółki. Ona jest sanitariuszką w takim małym, dziesięcioosobowym oddziale. Było ich piętnastu, ale teraz jest dziesięciu. Ona twierdzi, że tylko seks rozładowuje napięcie tych chłopaków i codziennie pomaga tym, którzy chcą. Ale może się tylko przechwala! A teraz śpij wreszcie i daj mi zasnąć.

Zasnął. Obudził go ponownie zwiększony hałas wystrzałów. Leżący z drugiej strony chłopak miał zegarek. Była szósta rano. Czuł, że już nie ma gorączki. Wstał, pocałował w policzek nadal śpiącą dziewczynę, obudził kolegów i pobiegli na Daniłowiczowską, kryjąc się za załomami murów. Przyszli też pozostali chłopcy z grupy. Dano im tylko koperty z meldunkami i informacjami, a także trochę prywatnej korespondencji do oddania pocztą harcerskiej. Ich plecaki, znowu zawieszone z przodu, były nieporównanie lżejsze. Punktualnie o siódmej weszli do kanału i tym razem żegnani piękną, słoneczną pogodą.

Droga powrotna okazała się znacznie łatwiejsza. Pod Placem Piłsudskiego nikt ich nie gazował, idąc burzowcem pod Królewską minęli skręt do „kanałku” pod Małachowskiego i Mazowiecką. Szli dalej w stronę Marszałkowskiej mając nadzieję, że woda w kanale pod tą ulicą opadła. Mieli szczęście – rzeczywiście poziom wody znacznie się obniżył. Poszli więc pod Marszałkowską – względnie czyste ścieki sięgały powyżej pasa, ale z pochyloną głową szło się bez większego trudu. Skręcili w Świętokrzyską i wyszli pierwszym wjazdem. Byli mniej zmęczeni, niż poprzedniego dnia i Kazio wraz z dwoma kolegami od razu poszli do aktualnej siedziby ich oddziału, też na Świętokrzyskiej, blisko Prudentialu - słynnego wówczas wieżowca na Placu Napoleona. Zameldowali powrót i oddali koperty. Mimo opłukania wodą pod Królewską i Marszałkowską byli oczywiście brudni i na odległość promieniowali swoim zapachem szamba. Dyżurny oficer patrzył

na nich z ukrywaną dezaprobatą i powiedział tylko – „spróbujcie się gdzieś oczyścić - macie wolne do jutra”. Dostali aktualne hasło i odzew i wyszli szukać wody, mydła i miejsca, gdzie można było się porządnie umyć.

Woda była osiągalna w nielicznych studniach, zwykłych i artezyjskich, okresowo także w kuchniach i łazienkach na parterach i niższych piętrach budynków. Postanowili pójść do mieszkania Kazia, w pięciopiętrowym budynku na Szpitalnej. Jego Matka z sąsiadami rezydowała oczywiście w piwnicy, a mieszkanie było na drugim piętrze. Powiedziała im, że woda czasem bywa, ale częściej chodzą z kubekami na Złotą, gdzie w domu koło kina Atlantic, była studnia. Zrobiła im gęstą kartoflankę z zapobiegliwie zgromadzonego zapasu ziemniaków i pożyczyła od sąsiadów kilka kubków..

Był już późny wieczór, więc do studni dostali się bez kolejki. Wnieśli napełnione kubki do mieszkania, kolejno wchodzili do wanny i oblewali się wodą nabieraną kubkami, intensywnie wykorzystując mydła znalezione w łazience. Jako ostatni, wychodząc z wanny, Kazio instynktownie odkręcił kurek baterii. Eureka – woda ciekła wąskim strumieniem! Ciekła do rana i napełniła im ponownie pożyczone kubki i pół wanny. Rano znowu kolejno do niej wchodzili – już bardziej dla przyjemności, niż z potrzeby. Napełnione kubki odnieśli właścicielom. I zgłosili się w jednostce po następne rozkazy.

Do końca Powstania Kazio chodził jeszcze kilkakrotnie kanałami, także drugi raz na Starówkę, tuż przed jej upadkiem. Ale jak ognia unikał „kanałku” pod Mazowiecką.

Znacznie wyższe i tym samym łatwiejsze były kanały pod Nowym Światem, Kruczą, Złotą a nawet Warecką i Jasną. Spotykani łącznicy, którzy specjalizowali się w wykorzystywaniu kanałów, reagowali na jego opowiadanie o „kanałku” śmiechem i zdziwieniem. Nikt z nich tamtędy nie chodził. Widocznie jeśli był wykorzystywany, to tylko w naprawdę awaryjnych sytuacjach.

Niemal przez całe powstanie Kazik miał szczęście i nie był nawet zadrapany. Na trzy dni przed zawieszeniem broni to szczęście na chwilę go opuściło. Wybuch był tak blisko, że uderzyło nim o ścianę domu. Podniósł się jednak bez trudu i uciekł pod osłonę najbliższej barykady. Dopiero po chwili dotarł do niego głos klęczącego obok kolegi:

- Jesteś ranny? Masz zakrwawioną całą nogawkę.

Nic nie czuł. Podciągnął nogawkę. Cała lewa noga, do kolana, była ponakłuwana drobnymi odłamkami i ziarenkami żwiru i pasku. Krew sączyła się małutkimi strumyczkami. Podczołgał się do rozbitego mieszkania na parterze, w którym „urzędowały” znane mu sanitariuszki.

- Globus! Co ci się stało? (nie znosił tej ksywy, ale prawie wszyscy go tak nazywali zapominając, że ma „formalny” pseudonim. Dlaczego – bo rzekomo potrafił odpowiedzieć na prawie każde pytanie z geografii).

- Nie wiem. To chyba był pocisk z granatnika. Ale doszły do mnie tylko te drobne odpryski.

- Wyjmiemy ci to. I oblejemy wódką. Będzie piekło, ale musisz wytrzymać.

Kiedy w nim dłubały, podbiegł Franio. Łącznik, z którym często się spotykał. Powiedział, że niesie do kilku oddziałów rozkazy wprowadzające zawieszenie broni. Nic więcej nie wiedział.

Następne dwa dni przeszły szybko. Cisza wydawała się nienaturalna. Wpadł na chwilę do matki, nadal siedzącej w piwnicy. Nie do końca wierzyła, że bombardowania i ostrzał już nie wrócą. niespodziewanie zjawił się u niej mecenas Wolski szukający w biurku ojca jakiś ważnych dokumentów. Razem z nim i kilku kolegami Kazia zastanawiali się, czy powinni wyjść do niewoli z powstańczymi oddziałami, czy ubrać bardziej chłopięce ubranka i wyjść razem z ludnością cywilną. W końcu mieli 15 - 17 lat, niektórzy wyglądali na mniej i istniała szansa, że Niemcy ich nie „wyłowią”. Zdecydowali, że jednak pójdą do niewoli. Mecenas

twierdził, że Niemcy zagwarantowali, iż powstańców z AK będą traktowali jak „normalnych” jeńców wojennych, przestrzegając zasad konwencji genewskiej. A ludność cywilna nie miała żadnych gwarancji.

## Koniec wersji demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

**Wydawnictwo Psychoskok**

